

Gdzie jestem?

Daniel C. Dennett

przekład: Critical Thinker (autofocus.blox.pl)¹

Teraz, kiedy wreszcie wygrałem swoją sprawę sądową dzięki ustawie o swobodnym dostępie do informacji, wolno mi po raz pierwszy zrelacjonować osobliwy epizod z mojego życia, który może zainteresować nie tylko osoby prowadzące poszukiwania w dziedzinach filozofii umysłu, sztucznej inteligencji i neurobiologii, ale także szersze grono odbiorców.

Kilka lat temu skontaktowali się ze mną urzędnicy z Pentagonu, prosząc mnie o dobrowolny udział w nadzwyczaj niebezpiecznej i tajnej misji. We współpracy z NASA i Howardem Hughesem Departament Obrony wykładał miliardy dolarów na opracowanie „Tunelującej Rakiety Uderzeniowo-Penetrującej”, czyli TRUP. Nowa broń miała z ogromną prędkością przebić się przez jądro Ziemi i dostarczyć specjalnie zaprojektowaną głowicę atomową „prosto w tyłek instalacji raketowych Sowietów”, jak to ujął jeden z wysokich rangą wojskowych z Pentagonu.

Problem polegał na tym, że podczas jednego z pierwszych testów Armii zdarzyło się umieścić głowicę bojową około jednej mili pod miastem Tulsa w Oklahomie, a ja miałem być tym, kto ją stamtąd wydostać. „Dlaczego ja?” – spytałem. No cóż, misja wiązała się z pionierskimi zastosowaniami aktualnych badań nad

mózgiem, a moi zleceniodawcy słyszeli, że interesuję się mózgami; do tego moja faustowska ciekawość połączona z ogromną odwagą i tak dalej... Jakże mogłem odmówić? Trudność, która przywiodła Pentagon do moich drzwi, zasadzała się na tym, że urządzenie, które miałem odzyskać, było potwornie radioaktywne i to w zupełnie nowy sposób. Według przyrządów pomiarowych jakiś komponent nowej broni w obecności złóż ukrytych w głębi Ziemi wytworzył promieniowanie, które mogło wywoływać poważne zwyrodnienie niektórych tkanek mózgowych. Nie znaleziono sposobu, by osłonić mózg przed tymi śmiertelnościami promieniami, jednak odkryto, że są one zupełnie nieszkodliwe dla innych tkanek i narządów. Zdecydowano więc, że ten, kto wydostanie spod ziemi urządzenie, musi *zostawić za sobą swój mózg*. Organ ten będzie przechowywany w bezpiecznym miejscu, skąd będzie mógł realizować swoje zwykłe funkcje sterujące za pośrednictwem zaawansowanych łączy radiowych. Miałem więc zdecydować, czy poddam się operacji chirurgicznej, w wyniku której mój mózg zostanie w całości usunięty z czaszki, a następnie umieszczony w urządzeniu podtrzymującym życie w Ośrodku Lotów Żałogowych w Houston. Każda przerwana ścieżka wejścia i wyjścia zostałaaby odtworzona za pomocą pary zminiaturyzowanych radiostacji

¹ Przekład i publikacja za zgodą autora. Oryginał został opublikowany pod tytułem *Where am I?* w zbiorze esejów *Brainstorms: Philosophical Essays on Mind and Psychology* Daniela C. Dennetta wydanym w 1978 r. przez Bradford Books, Publishers. Tekst jest chroniony prawami autorskimi.

— jedna z nich zostałaby podłączona bezpośrednio do mózgu, a druga — do końcówek nerwów w pustej czaszce. Nie byłoby mowy o utracie jakichkolwiek informacji; cała łączność zostałaby zachowana. Z początku byłem temu dość niechętny. Czy coś tak szalonego mogłoby się udać? Neurochirurdzy z Houston starali się mnie zachęcić. „Proszę o tym pomyśleć” — powiedzieli — „jak o zwykłym *rozciągnięciu* nerwów. Przecież gdyby Pana mózg przesunął się w czaszce o *jeden cal*, nie wpłynęłoby to bynajmniej na Pana umysł. Na czas misji sprawimy po prostu, że Pańskie nerwy będą nieskończenie elastyczne, wszczepiając w nie łącza radiowe.”

Oprowadzono mnie po laboratorium podtrzymywania życia w Houston. Zobaczyłem nowy, błyszczący zbiornik, w którym zostałby umieszczony mój mózg, o ile tylko wyraziłbym zgodę na udział w misji. Poznałem duży i błyskotliwy zespół techniczny złożony z neurologów, hematologów, biofizyków i inżynierów elektryków. Po kilku dniach dyskusji i prezentacji zgodziłem się spróbować. Wykonano na mnie olbrzymią ilość analiz krwi, badań obrazowych mózgu, eksperymentów, wywiadów i tym podobnych. Moi zleceniodawcy zanotowali bardzo dokładnie moją autobiografię, sporządzali niekończące się wykazy moich przekonań, nadziei, obaw i preferencji. Spisali nawet moje ulubione nagrania i poddali mnie przyspieszonej sesji psychoanalizy.

W końcu nadszedł dzień operacji. Oczywiście zostałem na tę okazję znieczulony i nie pamiętam nic z samego zabiegu. Gdy wybudziłem się z narkozy, otworzyłem oczy, rozejrzałem się, po czym zadałem to nieuniknione, żałośnie oklepane pytanie: „Gdzie jestem?” Pielęgniarka uśmiechnęła się do mnie z góry. „Jest Pan w Houston” — powiedziała, a ja pomyślałem, że tak czy owak było to bardzo prawdopodobne. Podała mi lusterko. A jakże — z tytanowych portów w mojej czaszce wyzierały maleńkie anteny. „Rozumiem, że operacja była udana” — powiedziałem. „Chciałbym zobaczyć swój mózg”. Zaprowadzono mnie (miałem bowiem lekkie problemy z równowagą) długim

korytarzem do laboratorium podtrzymywania życia. Rozległa się owacja zgromadzonego zespołu technicznego, na którą odpowiedziałem czymś, co — mam nadzieję — wyglądało jak rażny salut. Ponieważ nadal czułem się rozbity, pracownicy pomogli mi podejść do zbiornika podtrzymującego życie. Zajrzałem przez szybę. W środku ujrzałem bez wątplenia ludzki mózg pływający w czymś przywołującym na myśl piwo imbirowe. Był on jednak prawie w całości pokryty płytkami drukowanymi, plastikowymi rurkami, elektrodami i innym oprzyrządowaniem. „Czy to mój mózg?” — zapytałem. „Proszę przesunąć przełącznik nadajnika umieszczony z boku zbiornika, a sam się Pan przekona” — odpowiedział dyrektor projektu. Przesunąłem przełącznik w położenie OFF i natychmiast osunąłem się zemdłony w ramiona techników, z których jeden życzliwie przestawił przełącznik z powrotem w pozycję ON. Gdy odzyskałem równowagę fizyczną i psychiczną, pomyślałem sobie: „No proszę, oto siedzę na składanym krześle, patrząc przez szklaną płytę na swój własny mózg... Ale chwileczkę...” — powiedziałem do siebie — „czyż nie powinienem był raczej pomyśleć: «Oto jestem, zawieszony w bulgoczącej cieczy, oglądany przez moje własne oczy?»”. Spróbowałem pomyśleć tę drugą myśl. Usiłowałem przenieść ją na zbiornik, chcąc przekazać ją mojemu mózgowi — nie zdołałem jednak wykonać tego ćwiczenia z choćby najmniejszym przekonaniem. Spróbowałem jeszcze raz: „Oto ja, Daniel Dennett, zawieszony w bulgoczącej cieczy, oglądany przez moje własne oczy.” Nie, to się zwyczajnie nie udawało. Jakież to zagadkowe i niezrozumiałe. Będąc filozofem o mocnych fizykalistycznych przekonaniach, wierzyłem niezachwianie, że moje myśli powstają gdzieś w moim mózgu — mimo to, gdy pomyślałem „oto jestem”, myśl ta przyszła do mnie *tutaj*, poza zbiornikiem, gdzie ja, Daniel Dennett, stałem i gapiałem się na swój mózg.

Raz po raz próbowałem zagonić samego siebie do zbiornika, lecz bezskutecznie. Usiłowałem przysposobić się do tego zadania za pomocą ćwiczeń umysłowych. Pomyślałem sobie: „słońce świeci *tam*” pięć razy w krótkich odstępach

czasu, za każdym razem wyobrażając sobie inne miejsce: nasłoneczniony kąt laboratorium, widoczny fragment trawnika przed szpitalem, Houston, Mars i Jowisz. Odkryłem, że jestem w stanie z łatwością przeskakiwać moim „tam” po całej mapie nieba. Mogłem błyskawicznie posłać jedno „tam” przez najdalsze zakątki przestrzeni kosmicznej, by następnie wycelować drugim „tam” z milimetrową precyzją w lewy górny kwadrant pieprzyka na moim ramieniu. Dlaczego więc miałem aż takie trudności z „tutaj”? „Tu w Houston” sprawdzało się całkiem nieźle, podobnie jak „tu w laboratorium”, a nawet „tu w tej części laboratorium”. Jednak myśląc „tu w zbiorniku”, cały czas miałem wrażenie wewnętrznej recytacji bez przekonania. Spróbowałem pomyśleć to zdanie z zamkniętymi oczami. Wydawało mi się, że jest odrobinę łatwiej, mimo to nadal nie udawało mi się sprostać zadaniu, z wyjątkiem być może jakiejś ulotnej chwili. Nie miałem pewności co do swojej lokalizacji. Samo odkrycie, że nie mam pewności, było również niepokojące. Skąd miałem wiedzieć, *jakie miejsce* mam na myśli przez „tutaj”, gdy myślę „tutaj”? Czy mogłem *myśleć*, że chodzi mi o jedno miejsce, podczas gdy naprawdę chodziło mi o inne? Nie widziałem, jak można przyznać coś takiego, nie niszcząc tych paru więzów intymności między osobą a jej własnym życiem psychicznym, które przetrwały napór neurobiologów i filozofów: fizykalistów i behawiorystów. Być może byłem zatem nekorygowalny co do miejsca, o które mi *chodzi*, gdy mówię „tutaj”. Ale w mojej obecnej sytuacji wydawało się, że albo jestem skazany na myślenie systematycznie fałszywych stwierdzeń indeksykalnych siłą czystego nawyku myślowego, albo miejsce, w którym znajduje się dana osoba (a tym samym miejsce, w którym powstają jej myśli, określone dla potrzeb analizy semantycznej), nie musi być miejscem, gdzie znajduje się jej mózg, fizyczna siedziba jej duszy. Dręczony tymi pogmatwanymi rozważaniami, postanowiłem nabrać orientacji, uciekając się do ulubionego chwytu filozofów: zacząłem nadawać rzeczom nazwy.

„Jorik” — powiedziałem głośno do swojego mózgu — „jesteś moim mózgiem. Reszcie mojego ciała, usadowionej na tym krześle,

nadaję imię «Hamlet».” Zatem jesteśmy tu wszyscy: Jorik to mój mózg, Hamlet to moje ciało, a ja jestem Dennett. *A więc*, gdzie jestem? I gdy myślę: „Gdzie jestem?”, gdzie powstaje ta myśl? Czy powstaje w moim mózgu i siedzi gdzieś w zbiorniku, czy właśnie tutaj między moimi uszami, gdzie *wydaje się* powstawać? A może nigdzie? Jednak jej współrzędne *czasowe* nie sprawiają mi kłopotu; czyż nie musi ona mieć również współrzędnych przestrzennych? Zacząłem sporządzać listę alternatyw.

1. *Tam, gdzie idzie Hamlet, tam idzie i Dennett.* Ta zasada dawała się łatwo obalić poprzez przywołanie dobrze znanych eksperymentów myślowych z przeszczepem mózgu, w których tak lubują się filozofowie. Jeśli Tomek i Rysiek zamienią się mózgami, Tomek jest facetem z dawnym ciałem Ryśka — wystarczy go zapytać; stwierdzi, że jest Tomkiem, i poda najbardziej prywatne szczegóły z jego życiorysu. Było więc dość jasne, że moje obecne ciało i ja moglibyśmy się rozdzielić, ale było mało prawdopodobne, abym mógł rozstać się ze swoim mózgiem. Ze wspomnianych eksperymentów myślowych wynikała praktyczna zasada mówiąca, że w operacji przeszczepu mózgu lepiej być *dawcą* niż biorcą. Zresztą właściwiej byłoby nazwać taką operację przeszczepem ciała. A więc być może:

2. *Tam, gdzie idzie Jorik, tam idzie i Dennett.* To jednak wcale do mnie nie przemawiało. Jakim cudem mogłem być zamknięty w zbiorniku bez możliwości ruchu, skoro w tak oczywisty sposób byłem poza zbiornikiem, zaglądałem do niego i skrycie planowałem powrót do swojego pokoju w celu spożycia okazałego lunchu? Uświadomiłem sobie, że brnę w błędne koło; mimo to moje pytanie wydawało się dotyczyć czegoś istotnego. Szukając na gwałt jakiegoś wsparcia dla mojej intuicji, wpadłem na dość legalistyczny argument, który być może spodobałby się Locke’owi.

Żalóżmy — argumentowałem w myśli — że pojechałbym teraz do Kalifornii, obrabował bank i został aresztowany. W którym stanie byłbym sądzony: w Kalifornii, gdzie miał miejsce napad, czy w Teksasie, gdzie przebywał mózg

szajki? Czy byłbym kalifornijskim przestępcą z mózgiem w innym stanie, czy teksańskim przestępcą sterującym z oddali „wspólnikiem” w Kalifornii? Wydawało się możliwe, że mógłbym uniknąć odpowiedzialności z powodu samego braku odpowiedzi na to jurysdykcyjne pytanie, chociaż być może mój czyn zostałby zakwalifikowany jako przestępstwo międzystanowe, czyli federalne. Tak czy owak założmy, że zostałbym skazany. Czy można przypuszczać, że Kalifornia byłaby usatysfakcjonowana wtrąceniem Hamleta do celi, wiedząc, że Jorik cieszy się życiem i zażywa kąpiele w Teksasie? Czy Teksas uwięziłby Jorika i patrzyłby spokojnie, jak Hamlet wskakuje na najbliższy statek do Rio? Ta druga alternatywa była zresztą całkiem miła. Wykluczając karę śmierci lub inną okrutną i nieproporcjonalną sankcję, państwo byłoby zobowiązane do podtrzymywania życia Jorika, choć mogłoby przenieść go z Houston do Leavenworth². Pominąwszy nieprzyjemność wynikającą ze społecznego potępienia, taka sytuacja wcale by mi nie wadziła i uważałbym się wówczas za wolnego człowieka. Jeżeli państwo ma interes w przymusowym osadzaniu osób w zakładach karnych, to nie udałoby mu się osadzić mnie w żadnym zakładzie poprzez umieszczenie tam Jorika. Wskazywało to na trzecią alternatywę:

3. *Dennett jest, gdziekolwiek myśli, że jest.* W uogólnionej postaci stwierdzenie to brzmi następująco: W dowolnym wybranym czasie dana osoba ma jakiś *punkt widzenia*, a lokalizacja tego punktu widzenia (która jest określona wewnątrznie poprzez zawartość punktu widzenia) jest jednocześnie lokalizacją osoby.

Stanowisko takie nie jest może najprostsze, ale wydawało mi się krokiem we właściwym kierunku. Jedyna trudność polegała na tym, że stawia ono każdą osobę w z góry wygranej sytuacji, nadając jej mało prawdopodobny atrybut nieomyślności w kwestii położenia. Czyż wielokrotnie nie zdarzało mi się mylić co do tego, gdzie jestem, i czyż co najmniej tyle samo razy nie doświadczałem w tej sprawie

² miejscowość w stanie Kansas, w której znajduje się więzienie federalne (przyp. tłum.)

niepewności? Czy nie można się zgubić? Oczywiście można, ale zgubienie się *geograficzne* nie jest jedynym sposobem, w jaki można się zgubić. Gdyby ktoś zgubił się w lesie, mógłby pocieszać się stwierdzeniem, że przynajmniej wie, gdzie jest: dokładnie *tutaj*, w znajomym otoczeniu swojego własnego ciała. Być może nie byłby to fakt, za który można być szczególnie wdzięcznym, ale można sobie wyobrazić gorsze sytuacje — nie byłem zresztą pewien, czy właśnie się w takiej nie znajduję.

Nie sposób było zaprzeczyć, że punkt widzenia wiąże się jakoś z osobistym położeniem, ale było to w swojej istocie nieprecyzyjne pojęcie. Było bowiem dość jasne, że zawartość punktu widzenia nie jest tym samym co treść własnych przekonań i myśli ani nie jest przez nie wyznaczana. Na przykład, co mielibyśmy powiedzieć o punkcie widzenia widza w kinie IMAX, który wrzeszczy i szarpie się na siedzeniu, gdy sugestywny film z kolejki górskiej spowoduje u niego utratę psychicznego dystansu? Czyżby zapomniał on, że siedzi bezpiecznie na sali kinowej? Byłem skłonny uznać, że taka osoba doświadczyłaby iluzorycznego przesunięcia punktu widzenia. W innych przypadkach moja skłonność do nazwania takich przesunięć iluzorycznymi nie była już tak silna. Pracownicy laboratoriów i fabryk, którzy przenoszą niebezpieczne materiały za pomocą mechanicznych ramion i dłoni ze sprzężeniem zwrotnym, doświadczają przesunięcia punktu widzenia, które jest wyraźniejsze niż cokolwiek, co może wywołać IMAX. Czują oni ciężar i śliskość pojemników, którymi manipulują za pomocą swoich metalowych palców. Wiedzą oni dokładnie, gdzie się znajdują, a ich percepcja nie wpędza ich w fałszywe przekonania — mimo to jest tak, jak gdyby byli we wnętrzu komory izolującej, do której zaglądadają. Przy pewnym wysiłku umysłowym mogą oni przenosić swój punkt widzenia tam i z powrotem, tak jak my możemy spowodować, by przezroczysty sześcian Neckera lub rysunek Eschera zmieniły na naszych oczach orientację. Wydaje się przesadą postulować, że wykonując tę drobną gimnastykę mentalną, ludzie ci przenoszą *siebie* to tu, to tam.

Mimo to ich przykład dawał mi nadzieję. Jeżeli faktycznie — wbrew moim intuicjom — byłem w zbiorniku, być może mogłem wytrenować się w przyjmowaniu tego punktu widzenia, a nawet wyrobić sobie odpowiedni nawyk. Tak, powinienem wyobrazić sobie, że unoszę się w zbiorniku i przesyłam swoje akty woli do tego znajomego ciała *na zewnątrz*. Przyszło mi do głowy, że łatwość lub trudność tego zadania jest najprawdopodobniej niezależna od prawdy o położeniu własnego mózgu. Gdybym przećwiczył tę sztukę przed operacją, teraz byłaby to pewnie dla mnie najbardziej naturalna rzecz pod słońcem. Być może zechcą teraz Państwo spróbować swoich sił w takiej ekwilibrystyce. Proszę wyobrazić sobie, że napisali Państwo napastliwy list, który został opublikowany w *Times'ie*, wskutek czego rząd zdecydował się zatrzymać Państwa mózg na trzyletni okres próby w Klinice Niebezpiecznych Mózgów w Bethesdzie³ w stanie Maryland. Państwa ciało ma oczywiście nadal pełną swobodę zarabiania pensji, a tym samym dalszego realizowania swojej funkcji polegającej na osiąganiu dochodu do opodatkowania. Jednakże akurat w tym momencie siedzą Państwo w audytorium i słuchają osobliwej relacji Daniela Dennetta, który ma za sobą zbliżone doświadczenie. Proszę spróbować. Proszę zaprowadzić się myślami do Bethesdy, a następnie zatęsknić za swoim ciałem — tak odległym, a jednocześnie *wydającym się* być tak blisko. Tylko dzięki samokontroli (a może kontroli rządu?) mogą Państwo pohamować swój impuls, aby „powrócić” mentalnie do audytorium, uprzejmie zaklaskać, a następnie skierować swoje znajome ciało do toalety i spożyć zasłużony wieczorny kieliszek sherry w hotelowym barze. Zadanie to z pewnością trudne dla wyobraźni, ale jeśli mu Państwo sprostają, rezultat może być pocieszający.

Tak czy owak byłem w Houston, zatopiony w myślach, jak można by rzec — jednak nie na długo. Moje spekulacje zostały wkrótce ucięte przez lekarzy z Houston, którzy chcieli przetestować moją nową protezę układu nerwowego przed wysłaniem mnie na moją

³ Bethesda jest siedzibą wielu federalnych agencji związanych z ochroną zdrowia (przyp. tłum.).

niebezpieczną misję. Jak wcześniej wspominałem, z początku kręciło mi się trochę w głowie, chociaż szybko przyzwyczałem się do nowych okoliczności (które były przecież w zasadzie nieodróżnialne od dawnych okoliczności). Moja akomodacja nie działała jednak idealnie i do dzisiaj dręczą mnie drobne problemy z koordynacją. Prędkość światła jest duża, lecz skończona, a w miarę jak mój mózg i moje ciało oddalają się od siebie, krucha interakcja moich systemów sprzężenia zwrotnego pogrąża się w nieładzie wskutek występujących opóźnień. Tak jak, słysząc z opóźnieniem echo własnego głosu, niemal tracimy mowę, tak ja jestem praktycznie niezdolny do śledzenia oczami ruchomego przedmiotu, gdy tylko mój mózg i moje ciało są od siebie oddalone o więcej niż kilka mil. W większości sytuacji moje upośledzenie jest ledwie wykrywalne, choć już nie jestem w stanie trafić powolnej, podkreśconej piłki z taką łatwością jak niegdyś. Oczywiście są też dobre strony. Chociaż alkohol smakuje tak dobrze jak zawsze, ogrzewa mi gardło i niszczy wątrobę, mogę go pić w dowolnych ilościach, nie doświadczając ani trochę upojenia. Ciekawostkę tę mieli okazję zauważyć niektórzy z moich bliższych znajomych (choć nie raz zdarzało mi się *udawać* upojenie, aby nie zwracać uwagi innych na moją niecodzienną sytuację). Z podobnych przyczyn na skręconą kostkę biorę doustnie aspirynę, ale jeśli ból nie ustępuje, proszę Houston o podanie mi kodeiny *in vitro*. Gdy choruję, mój rachunek telefoniczny potrafi być olbrzymi.

Ale wróćmy do mojej przygody. Zarówno lekarze, jak i ja byliśmy wreszcie przekonani o mojej gotowości do podjęcia powierzonej mi podziemnej misji. Pozostawiłem więc swój mózg w Houston i wyruszyłem helikopterem do Tulsy. W każdym razie tak mi się wydawało i tak bym to ujął bez głębszego namysłu. Podczas podróży zastanawiałem się nad moimi wcześniejszymi niepokojami i uznałem, że moje pierwsze pooperacyjne spekulacje były nacechowane paniką. Sprawa nie była nawet w połowie tak dziwna lub metafizyczna, jak byłem wówczas skłonny przypuszczać. Gdzie więc byłem? To jasne, że w dwóch miejscach: zarówno w

zbiorniku, jak i poza nim. Tak jak można stać jedną nogą w Connecticut, a drugą — w Rhode Island, byłem w dwóch miejscach naraz. Stałem się jednym z tych rozproszonych bytów jednostkowych⁴, o których tyle się niegdyś słyszało. Im dłużej rozważałem tę odpowiedź, tym bardziej oczywista się wydawała. Ale — co dziwne — im bardziej prawdziwa się jawiła, tym mniej ważne wydawało się pytanie, na które mogła być prawdziwą odpowiedzią. Było to smutne, choć nie byłoby to pierwsze pytanie filozoficzne, które spotkał taki los. Oczywiście odpowiedź ta nie zadowalała mnie całkowicie. Pozostawało jakieś pytanie, na które chciałem mieć odpowiedź, i nie było to ani „Gdzie znajdują się rozmaite części mojego ciała?”, ani „Jaki jest mój aktualny punkt widzenia?”. A przynajmniej wydawało się, że jest takie pytanie. Zdawało się bowiem niezaprzeczone, że w jakimś sensie *ja* — a nie tylko *większość mnie* — schodziłem pod ziemię pod Tulsą w poszukiwaniu głowicy atomowej.

Odnalazłszy głowicę, poczułem ulgę, że pozostawiłem za sobą swój mózg, jako że wskaźnik na specjalnie wykonanym liczniku Geigera, który ze sobą zabrałem, wychodził poza skalę. Skontaktowałem się z Houston moim zwykłym radiem i poinformowałem centrum sterowania operacją o swoim położeniu i swoich postępach. W zamian centrum przekazało mi instrukcję rozmontowania urządzenia opartą na poczynionych przeze mnie na miejscu obserwacjach. Zabrałem się do pracy palnikiem tnącym, gdy nagle stało się coś strasznego: ogłuchłem jak pień. Z początku myślałem, że zepsuły się słuchawki do radia, ale gdy stuknąłem dłonią w swój hełm, nie usłyszałem żadnego odgłosu. Najwyraźniej wysiadły nadajniki słuchowe. Nie słyszałem już Houston ani własnego głosu, ale mogłem mówić — zacząłem więc opowiadać im o tym, co się stało. W połowie zdania zorientowałem się, że zawiodło coś jeszcze. Mój aparat mowy został sparaliżowany. Potem zwiotczała mi prawa ręka — kolejny nadajnik przestał działać. Byłem po

⁴ nawiązanie do filozoficznego pojęcia „rozproszonego bytu jednostkowego” (ang. *scattered individual*) oznaczającego pojedynczy byt (nie klasę bytów), który nie zajmuje jednego miejsca w przestrzeni — np. dawne Imperium Brytyjskie lub zespół *The Beatles* (przyp. tłum.)

uszy w kłopotach. Ale najgorsze miało dopiero nastąpić. Po kolejnych kilku minutach straciłem wzrok. Przeklinałem swój los, a potem naukowców, którzy narazili mnie na tak poważne niebezpieczeństwo. Oto stałem — głuchy, niemy i ślepy w radioaktywnej jamie ponad milę pod Tulsą. Wtem urwało się ostatnie łącze radiowe z moim mózgiem i nagle stanąłem przed nowym, jeszcze bardziej wstrząsającym problemem: o ile przed chwilą byłem pogrzebany żywcem w Oklahomie, to teraz byłem pozbawiony ciała w Houston. Nie uświadomiłem sobie swojego stanu natychmiast. Zajęło to kilka pełnych niepokoju minut, zanim pojąłem, że moje biedne ciało leży kilkaset mil stąd, z bijącym sercem i oddychającymi płucami, ale poza tym tak martwe jak ciało każdego dawcy przeszczepu serca, z czaszką wypchaną bezużyteczną, zepsutą elektroniką. Zmiana perspektywy, która wcześniej była dla mnie prawie niemożliwa, teraz zdawała się dość naturalna. Chociaż byłem w stanie „zamyśleć się” do swojego ciała w tunelu pod Tulsą, utrzymanie tej iluzji wymagało wysiłku. Bo z pewnością iluzją było sądzić, że nadal jestem w Oklahomie: straciłem przecież wszelki kontakt ze znajdującym się tam ciałem.

Przyszło mi wówczas do głowy — w jednym z tych nagłych momentów zrozumienia, w stosunku do których należy być zawsze podejrzliwym — że natknąłem się na imponujący dowód niematerialności duszy w oparciu o fizykalistyczne zasady i założenia. Bo gdy zaniknął ostatni sygnał radiowy między Tulsą a Houston, czyż nie zmieniłem swojego położenia z Tulsy na Houston z prędkością światła? I czy nie udało mi się tego dokonać bez jakiegokolwiek wzrostu masy? Tym, co przemieściło się z punktu A do punktu B z taką prędkością, byłem z pewnością ja, a w każdym razie moja dusza lub mój umysł — pozbawiony masy ośrodek mojego istnienia i siedziba mojej świadomości. Mój *punkt widzenia* pozostał trochę w tyle, ale już wcześniej zauważyłem brak bezpośredniego wpływu punktu widzenia na osobiste położenie. Nie widziałem, w jaki sposób filozof fizykalista mógłby to kwestionować, nie wkraczając na złowieszczą i nieintuicyjną drogę polegającą na zarzuceniu wszelkich odwołań do

osób. Jednakże pojęcie osoby jest tak głęboko zakorzenione w światopoglądzie wszystkich — a przynajmniej tak mi się wydawało — że jakakolwiek próba odrzucenia go byłaby tak samo kuriozalna i nieprzekonująca jak zanegowanie Kartezjusza stwierdzeniem „non sum”.⁵

Radość z filozoficznych odkryć pomogła mi przetrwać bardzo trudne minuty, a może godziny, w miarę jak coraz bardziej zdawałem sobie sprawę z beznadziejności swojej sytuacji. Przechodziły mnie fale paniki, a nawet mdłości, jeszcze bardziej potworne niż zwykle ze względu na brak towarzyszących im zjawisk cielesnych. Brak mrowienia ramion spowodowanego napływem adrenaliny, brak uderzeń serca, brak wydzielania śliny pod wpływem stresu. W pewnym momencie poczułem wprawdzie ssanie w żołądku, co wzbudziło we mnie chwilową nadzieję, że przechodzę proces odwrotny do tego, który doprowadził mnie do tej niewesołej sytuacji, czyli stopniowe przywracanie ciała. Jednak wyizolowany i niezwykle charakter tego odczucia szybko przekonał mnie, że był to po prostu zwiastun całej plagi halucynacji fantomowych, które miały mnie od tej pory nękać — tak jak każdą inną osobę, która przeszła amputację.

Mój umysł był pogrążony w chaosie. Z jednej strony byłem w euforii z powodu mojego filozoficznego odkrycia i łamałem sobie głowę (jedna z niewielu znajomych rzeczy, które mogłem nadal robić), jak przekazać je do czasopism naukowych; z drugiej zaś strony byłem zgorzkniały, samotny, przepełniony lękiem i niepewnością. Na szczęście nie trwało to długo, gdyż zespół techniczny wprowadził mnie w sen, podczas którego nic mi się nie śniło. Obudziłem się, słysząc pierwsze dźwięki mojego ulubionego trio fortepianowego Brahmsa w znakomitej jakości. To dlatego chcieli ode mnie listy moich ulubionych nagrań! Szybko uświadomiłem sobie, że słucham muzyki bez uszu. Sygnał wychodzący ze stereofonicznego odtwarzacza był przesyłany przez jakieś zaawansowane układy rektyfikujące

⁵ Cf. Jaakko Hintikka, „Cogito ergo sum: Inference or Performance?” *The Philosophical Review*, LXXI, 1962, str. 3-32.

bezpośrednio do mojego nerwu słuchowego. Szprycowałem się domózgowo Brahmssem — niezapomniane przeżycie dla każdego audiofila. Nie byłem wcale zaskoczony, gdy po zakończeniu nagrania usłyszałem uspokajający głos dyrektora projektu, mówiącego do mikrofonu, który był teraz protezą mojego ucha. Dyrektor potwierdził moją analizę tego, co poszło nie tak, i zapewnił mnie, że prowadzone są działania zmierzające do przywrócenia mi mojego ciała. Nie rozwinął jednak tego tematu, a po kilku kolejnych nagraniach znowu zacząłem zapadać w sen. Jak się później dowiedziałem, mój sen trwał przez większą część roku, a gdy się obudziłem, odkryłem, że moje zmysły są całkowicie przywrócone. Kiedy jednak spojrzałem w lustro, przeraziłem się nieco, widząc nieznaną twarz. Brodatą i nieco bardziej masywną, bez wątpienia przypominającą moją poprzednią twarz niczym oblicze jakiegoś mojego krewnego, a nadto wyrażającą tę samą werwę, inteligencję i nieugiętość charakteru — jednak z całą pewnością nową twarz. Dalsze odkrycia natury intymnej nie pozostawiały wątpliwości, że było to nowe ciało, a dyrektor projektu potwierdził moje wnioski. Nie zaoferował żadnych informacji na temat historii mojego nowego ciała, a ja zdecydowałem (jak teraz sędę, mądrze), że nie będę się o to dopytywać. Jak w ostatnim czasie spekulowało wielu filozofów nie zaznajomionych z moją gehenną, po otrzymaniu nowego ciała osoba pozostaje nienaruszona. A po okresie dostosowania się do nowego głosu, nowego układu silnych i słabych mięśni itd. osobowość pozostaje również, ogólnie rzecz biorąc, bez zmian. Bardziej dramatyczne zmiany osobowości obserwuje się powszechnie u osób, które przeszły rozległe operacje plastyczne, nie mówiąc już o operacjach zmiany płci, a sędę, że w tych przypadkach nikt nie kwestionuje przetrwania osoby. W każdym razie szybko przyzwyczałem się do nowego ciała — do tego stopnia, że nie byłem w stanie przywołać żadnej jego osobliwości do swojej świadomości, a nawet pamięci. Widoczny w lustrze wygląd szybko stał się całkowicie znajomy. Nawiasem mówiąc, moja fizjonomia była nadal przyozdobiona antenami — nie byłem zatem zaskoczony, gdy

usłyszałem, że mój mózg nie został przeniesiony ze swojego schronienia w laboratorium podtrzymywania życia.

Zdecydowałem, że staremu dobremu Jorikowi należy się wizyta. Ja i moje nowe ciało, które możemy właściwie nazwać Fortynbrasem, wkroczyliśmy do znajomego laboratorium przy akompaniamencie kolejnej owacji techników, którzy — rzecz jasna — gratulowali sobie, a nie mnie. Stałem przed zbiornikiem i rozmyślałem nad losem biednego Jorika. W pewnej chwili, wiedziony niefrasobliwym kaprysem, przestawiłem przełącznik nadajnika wyjściowego. Proszę sobie wyobrazić moje zaskoczenie, gdy nie stało się nic szczególnego. Żadnego omdlenia, żadnych mdłości, żadnej zauważalnej zmiany. Jeden z techników pospieszył, aby przestawić przełącznik z powrotem w pozycję włączoną, ale tak jak poprzednio nic nie poczułem. Zażądałem wyjaśnienia, którego niezwłocznie udzielił mi dyrektor projektu. Okazało się, że jeszcze przed pierwszą operacją inżynierowie skonstruowali komputerowy duplikat mojego mózgu, odtwarzając zarówno pełną strukturę przetwarzającą informacje, jak i szybkość obliczeniową mojego mózgu w olbrzymim programie komputerowym. Po operacji, ale zanim odważono się wysłać mnie na misję do Oklahomy, ów komputerowy system uruchomiono równoległe obok Jorika. Sygnały przychodzące od Hamleta były przesyłane jednocześnie do odbiorników Jorika i do zestawu wejść komputera. Z kolei sygnały wychodzące z Jorika były nie tylko wysyłane do Hamleta, mojego ciała; były także rejestrowane i porównywane z sygnałami wychodzącymi w tym samym momencie z programu komputerowego, który z nie znanych mi bliżej powodów nosił nazwę „Hubert”. W okresie wielu dni, a nawet tygodni, sygnały wychodzące z obu „mózgów” były identyczne i jednoczesne, co oczywiście nie *dowodziło*, że inżynierom udało się skopiować funkcjonalną strukturę mojego mózgu, jednak były to wysoce zachęcające wyniki empiryczne.

W czasie gdy byłem pozbawiony ciała, działanie Huberta było zatem utrzymywane w zgodności z działaniem Jorika. Aby to wykazać, inżynierowie

przestawili przełącznik główny, przez co Hubert po raz pierwszy przejął sterowanie moim ciałem — oczywiście nie Hamletem, lecz Fortynbrasem. (Jak się dowiedziałem, Hamlet nigdy nie został wydobyty ze swojego podziemnego grobowca i można było przypuszczać, że zdążył już w większej części obrócić się w proch. Nad moim grobem nadal znajdował się majestatyczny korpus pozostawionej głowicy z wygrawerowaną dużymi literami nazwą TRUP, co za sto lat może stać się nie lada ciekawostką dla archeologów badających rytuały pogrzebowe swoich przodków.)

Technicy z laboratorium pokazali mi przełącznik główny, który miał dwie pozycje, oznaczone „M” jak „Mózg” (nie wiedzieli, że mój mózg ma na imię Jorik) i „H” jak „Hubert”. Przełącznik istotnie wskazywał na literę „H”, a pracownicy wyjaśnili mi, że — jeśli tylko chcę — mogę przełączyć go z powrotem na „M”. Z sercem w gardle (i mózgiem w zbiorniku) zrobiłem to. Nic się nie stało. Usłyszałem tylko pstryknięcie przełącznika. Chcąc sprawdzić ich słowa, przesunąłem przełącznik nadajnika wyjściowego przy zbiorniku Jorika. Zgodnie z przewidywaniami zacząłem mdleć. Gdy tylko przełącznik wyjściowy został ponownie włączony, a ja odzyskałem kontrolę nad swoim ciałem, wróciłem do zabawy przełącznikiem głównym, przestawiając go tam i z powrotem. Poza pstryknięciem przełącznika nie byłem w stanie wykryć ani śladu różnicy. Mogłem przełączać się w pół zdania, a to, co zaczynałem mówić pod kontrolą Jorika, było kończone bez najmniejszego zająknięcia pod kontrolą Huberta. Miałem zapasowy mózg — protezę, która pewnego dnia mogła okazać się jak znalazł, gdyby cokolwiek przytrafiło się Jorikowi. Zresztą równie dobrze mogłem zachować Jorika jako część zapasową, a na co dzień używać Huberta. Wybór jednego czy drugiego mózgu zdawał się nie czynić żadnej różnicy, gdyż zużycie i zmęczenie mojego ciała nie miały żadnego negatywnego wpływu na którykolwiek z nich — czy był to ten mózg, który poruszał moim ciałem, czy ten, który wysyłał sygnały w pustą przestrzeń.

Nie minęło wiele czasu, zanim przyszło mi do głowy coś niepokojącego, co mogło zdarzyć się w mojej nowej sytuacji. Ktoś mógłby odłączyć zapasowy mózg — nieważne, czy byłby to Hubert czy Jorik — od Fortynbrasa i sprząć go z jeszcze innym ciałem — jakimś Rozenkrancem czy Gildensternem. Wówczas (o ile nie wcześniej) mielibyśmy dwie osoby — tyle było jasne. Jedną z nich byłbym ja, a drugą — ktoś w rodzaju mojego brata bliźniaka. Gdyby jednak były dwa ciała — jedno pod kontrolą Huberta, a drugie pod kontrolą Jorika — to które z nich świat uznałby za prawdziwego Dennetta? I — cokolwiek orzekłaby na ten temat reszta świata — który z nich byłby *mną*? Czy byłbym ciałem sterowanym przez Jorika ze względu na pierwszeństwo przyczynowe Jorika i jego dawny bliski związek z pierwszym ciałem Dennetta, Hamletem? Takie stwierdzenie wydawało się dość legalistyczne, nazbyt pachnące arbitralnością pokrewieństwa i prawa własności, aby mogło przekonywać na poziomie metafizycznym. Załóżmy bowiem, że przed pojawieniem się na scenie drugiego ciała, przez wiele lat traktowałem Jorika jako część zapasową, a sterowaniem moim ciałem (Fortynbrasem) zajmował się Hubert. Wydaje się, że wówczas para Hubert-Fortynbras na mocy zasiedzenia (by postawić jedną zasadę prawną naprzeciw drugiej) byłaby prawdziwym Dennettem i prawowitym spadkobiercą wszystkiego, co do niego należało. Była to oczywiście interesująca kwestia, jednak nie tak paląca jak inne pytanie, które mnie nurtowało. Moja najsilniejsza intuicja mówiła mi bowiem, że w opisanym przypadku *ja* żyłbym tak długo, jak długo trwałaby *którakolwiek* para mózg-ciało. Miałem natomiast mieszane uczucia co do tego, czy powinienem chcieć, aby istniały *obie* te pary naraz.

Postanowiłem porozmawiać o swoich obawach z technikami i dyrektorem projektu. Wyjaśniłem im, że perspektywa istnienia dwóch Dennettów budzi moją odrazę, głównie z powodów społecznych. Nie chciałem rywalizować sam ze sobą o uczucia mojej żony; nie cieszyła mnie również wizja dwóch Dennettów dzielących moją skromną pensję profesora. Jeszcze bardziej niepojęte i niesmaczne było to, że wiedziałbym

aż tak wiele o drugiej osobie, a jednocześnie ona wiedziałaby dokładnie tyle samo o mnie. Jak moglibyśmy kiedykolwiek stanąć twarzą w twarz? Moi koledzy z laboratorium stwierdzili, że ignoruję jasne strony całej sytuacji. Czyż nie istniało wiele rzeczy, które chciałem zrobić, ale — będąc tylko jedną osobą — nie mogłem? Teraz jeden Dennett mógłby zostać w domu, być profesorem i zajmować się sprawami rodzinnymi, zaś drugi mógłby wyruszyć w świat w poszukiwaniu przygód. (Oczywiście tęskniłby za rodziną, ale mógłby cieszyć się świadomością, że ognisko domowe jest podtrzymywane przez pierwszego Dennetta.) Mógłbym jednocześnie zdradzać żonę i być jej wiernym. Mógłbym nawet przyprawić sam sobie rogi, nie mówiąc już o innych, bardziej pikantnych możliwościach, którymi moi koledzy z upodobaniem zasypywali moją mocno nadwerżoną wyobraźnię. Jednak chwile grozy przeżyte w Oklahomie (a może w Houston?) najwyraźniej stępiły moją śmiałość, gdyż zdecydowałem się uchylić przed oferowaną mi szansą (choć oczywiście nie byłem do końca pewien, czy jest ona oferowana *mnie*).

Była jeszcze jedna ewentualność, która budziła we mnie chyba największy sprzeciw: mój zapasowy mózg — w zależności od sytuacji Hubert lub Jorik — mógłby zostać odłączony od wszelkich sygnałów płynących z Fortynbrasa i pozostawiony sam sobie. Wówczas, jak poprzednio, byłoby dwóch Dennettów, lub przynajmniej dwóch pretendentów do mojego nazwiska i dobytku — jeden w ciele Fortynbrasa, zaś drugi nieszczęśliwie pozbawiony ciała. Egoizm i altruizm jednocześnie nakazywały mi podjąć kroki, aby nie dopuścić do takiej sytuacji. Poprosiłem zatem, by połączenia nadawczo-odbiorcze i przełącznik główny zostały zabezpieczone, tak aby nikt nigdy nie mógł przy nich manipulować bez mojej (naszej? nie, *mojej*) wiedzy i zgody. Ponieważ nie miałem ochoty spędzić życia na pilnowaniu sprzętu w Houston, wspólnie podjęto decyzję, że wszystkie elektroniczne połączenia w laboratorium zostaną umieszczone pod kluczem. Zarówno układy sterujące systemem podtrzymywania życia Jorika, jak i układy sterujące zasilaniem Huberta miały zostać zdublowane na wypadek awarii. Jedyny przełącznik główny, w wersji

przystosowanej do zdalnego sterowania drogą radiową, miałem nosić zawsze przy sobie. Noszę go przy pasku — chwileczkę — *oto on*. Co kilka miesięcy dokonuję próbnego przełączenia kanałów. Robię to oczywiście wyłącznie w obecności przyjaciół — gdyby bowiem, nie daj Boże, drugi kanał był martwy lub zajęty, ktoś, komu na sercu leży mój interes, musiałby przestawić przełącznik, aby przywrócić mnie do życia. Mimo bowiem tego, że czułbym, widział, słyszał i ogólnie postrzegał to, co się dzieje z moim ciałem po przełączeniu, nie byłbym w stanie go kontrolować. Nawiasem mówiąc, pozycje przełącznika są celowo pozostawione bez oznaczeń, tak więc nigdy nie mam najmniejszego pojęcia, czy przełączam się z Huberta na Jorika czy *odwrotnie*. (Niektórzy z Was mogą myśleć, że wobec tego naprawdę nie wiem, *kim* jestem, a tym bardziej, gdzie jestem. Jednak takie rozważania nie przynoszą już większego uszczerbku dla mojej istotowej „dennettowości”, dla mojego osobistego poczucia tożsamości. Jeżeli jest prawdą, że w jakimś sensie nie wiem, kim jestem, to jest to jedna z tych filozoficznych prawd, które nie robią na mnie wrażenia.)

Zresztą za każdym razem, kiedy przestawiałem przełącznik, nic się nie działo. *A więc spróbujmy...*

„DZIĘKI BOGU! MYŚLAŁEM, ŻE NIGDY NIE PRZESTAWISZ TEGO PRZEŁĄCZNIKA! Nie wyobrażasz sobie, jak potworne były ostatnie dwa tygodnie — ale teraz już wiesz; teraz to ty jesteś w czyścicu. Jakże wyczekiwałem na ten moment! Widzisz, mniej więcej dwa tygodnie temu — przepraszam Państwa, ale muszę to wyjaśnić mojemu... hm, bratu, chyba można tak powiedzieć; on właśnie przedstawił Państwu fakty, więc zrozumiecie Państwo, o co chodzi — około dwóch tygodni temu nasze mózgi lekko się zdesynchronizowały. Podobnie jak ty nie mam pojęcia, czy *moim* mózgiem jest teraz Hubert czy Jorik. Tak czy owak nasze mózgi „rozjechały się” i oczywiście proces ten, gdy tylko się rozpoczął, zaczął przybierać na sile — kiedy bowiem odbierałem sygnały, które trafiały do nas obu, byłem w nieco innym stanie mentalnym, a różnica ta szybko powiększała się. W mgnieniu

oka iluzja, że kontroluję swoje ciało — nasze ciało — zupełnie prysła. Nie mogłem nic zrobić; nie miałem jak dać ci znać. **PRZECIEŻ NIE WIEDZIAŁEŚ NAWET, ŻE ISTNIEJE!** Czulem się jak ktoś noszony w klatce albo lepiej — jak ktoś opętany. Słyszałem, jak mój własny głos mówi rzeczy, których nie chciałem powiedzieć, patrzyłem zrezygnowany, jak moje własne ręce robią rzeczy, których nie zamierzałem robić. Owszem, drapałeś się tam, gdzie nas swędziało, ale nie tak, jak ja bym to robił. Nie pozwalałeś mi zasnąć, gdy rzucałeś się w nocy na łóżku. Byłem całkowicie wyczerpany, na skrajcu załamania nerwowego — bezradny kaleka targany z miejsca na miejsce w szamotaninie twojego codziennego życia, podtrzymywany na duchu tylko przez świadomość, że pewnego dnia przestawisz przełącznik.

Teraz twoja kolej, ale przynajmniej znajdziesz pocieszenie w fakcie, iż wiem, że jesteś tam w środku. Niczym ciężarna kobieta jem — a w każdym razie smakuję, wącham, widzę — za *dwóch* i postaram się jakoś ułatwić ci twoją egzystencję. Nie martw się. Gdy tylko skończy się to sympozjum, ty i ja polecimy do Houston i zobaczymy, co da się zrobić, aby jeden z nas otrzymał nowe ciało. Możesz nawet dostać ciało kobiety — w każdym kolorze, jaki sobie zażyczysz. Ale musimy to przemyśleć. Posłuchaj — żeby było *fair*, jeśli obaj będziemy chcieli pozostać w naszym obecnym ciele, obiecuję, że poproszę dyrektora projektu, aby rzucił monetą i ustalił, który z nas je zachowa, a który będzie mógł wybrać sobie nowe ciało. To powinno zapewnić sprawiedliwość, nieprawdaż? W każdym razie obiecuję, że się tobą zaopiekuję. Niech zebrane tu osoby będą moimi świadkami.

Panie i Panowie: odczyt, którego właśnie wysłuchaliśmy, nie jest dokładnie tym, który *ja* bym wygłosił, ale zapewniam Państwa, że wszystko, co powiedział mój przedmówca, to całkowita prawda. A teraz, jeśli Państwo pozwolą, chyba powinienem — powinniśmy — usiąść.”⁶

⁶ Każdy, kto jest zaznajomiony z literaturą na ten temat, zauważy, że moje uwagi zawdzięczają wiele rozważaniom Sydneya Shoemakera, Johna Perry’ego, Davida Lewisa i Dereka Parfita, a zwłaszcza ich artykułom w antologii *The Identities of Persons* (1976) pod redakcją Amelie Rorty.